

Sławomir Kalembka

Jan Wojciechowski 1927-2005. Wspomnienie

Rocznik Toruński 33, 247-254

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Wojciechowski 1927–2005. Wspomnienie

*Sławomir Kalembka
Instytut Stosunków Międzynarodowych
UMK Toruń*

Rankiem 1 IX 2005 r. w toruńskim Szpitalu Wojewódzkim zmarł, dzień wcześniej przywieziony w ciężkim stanie z Bydgoszczy, Jan Wojciechowski.

W pięć dni później, w słoneczne południe pożegnała go na Cmentarzu Centralnym w Toruniu duża gromada przyjaciół i znajomych. Każdy pogrzeb jest, ze swej natury, chwilą smutną. Tym razem pogłębił ten mroczny nastrój, choć słońce pięknie świeciło, fakt, iż przyjaciele Jana nie mogli wyrazić słowem swych głębokich i szczerych wyrazów uznania dla jego dokonań i zasług dla życia kulturalnego Torunia, Bydgoszczy i w ogóle całego regionu. Także prostej sympatii dla tego ludzkiego i bezinteresownego człowieka. Nieco później starano się to nadrobić spotkaniami w węższym gronie, ale nie mogło to zastąpić prostych i mocnych słów, jakie powinny były być wypowiedziane na toruńskim cmentarzu.

Jan Wojciechowski był nieodrodnym synem Kujaw. Miał charakterystyczną, raz na zawsze, zapamiętywalną sylwetkę. Niewysoki, silnie zbudowany, nigdy, nawet w trzaskające mrozy, nie nakrywał głowy. Chodził drobnym krokiem, zwłaszcza gdy przybyło mu lat. Nie miał zwyczaju chorować, nawet wówczas, gdy dopadały go jakieś dolegliwości. Z latami dorobił się chyba nadciśnienia, o czym świadczyły

dosyć częste bóle głowy, ale je lekceważył. Żadnej uwagi nie przykładał do dóbr materialnych. Prowadził, trochę też z konieczności, życie anachorety. Sprawiając czasami wrażenie bałaganiarza, w istocie był człowiekiem sprawnym i skutecznym organizacyjnie. Do ludzi odnosił się przyjaźnie, i do tych, którzy niemało mu zawdzięczali, a z czasem starali się mu szkodzić lub go lekceważyć. Działalność społeczna, stałe kontakty z ludźmi były jego naturalną skłonnością. Przez niekrótkie życie robił to, co mu odpowiadało, a jest to sposób na poczucie prawdziwej satysfakcji.

Toruń wybija się wśród grodów polskich pięknem nadwiślańskiego położenia, zielenią, a przede wszystkim patyną murów, ale są one tylko ramami dla pejzażu ludzkiego, bo on stanowi o atmosferze miasta. Niestety, ubywają zeń coraz częściej charakterystyczne i malownicze postacie. Zniknięcie sylwetki Jana Wojciechowskiego w widoczny sposób zubożyło ów pejzaż.

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Ta rzekoma prawda może jest słuszną wobec urzędników magistrackich lub pocztowych, ale nie wobec indywidualności kształtujących lub zarysowujących krajobraz ludzki miast tego godnych. I to powinni wbijać sobie w głowy ci, którzy rządzą, a tym bardziej ci, którzy ich wybierają. Nie ma demokracji, rozumianej jako „urawniłowka”, na mózgi, urodę, osobowość, intelekt.

Jan Wojciechowski urodził się 13 XII 1927 r. w Izbicy Kujawskiej, w niezamożnej rodzinie. Rodzicami jego byli Józef i Rozalia. Miał rodzeństwo, które tak jak i on opuściło to sympatyczne, ale leżące na uboczu wielkich szlaków, miasteczko. Pamiętam, że kiedyś odwiedziliśmy Izbicę. Jan złożył kwiaty na grobie rodziców, wówczas też poznałem jedną z jego siostr. Dobrze jest przypomnieć, że z dworu w pobliskiej wsi Długie pochodziła Justyna Krzyżanowska, matka genialnego Fryderyka Chopina.

W domu u Janka się nie przelewało. Dla paru groszy pracował przed wojną u zamożniejszych Żydów w soboty, jako „szabesgoj”. Do 1939 r. zdążył ukończyć pięć klas podstawówki. W czasie okupacji Izbica znalazła się wśród ziem wcielonych do Rzeszy, w hitlerowskim Warthelandzie. Młodego chłopaka goniono do ciężkich prac przy wy-

dobywaniu torfu. Gdy przyszło wyzwolenie, w pierwszym roku wolności nadal ciężko pracował w miejscowym tartaku. Równolegle uczył się w miejscowym gimnazjum, wkrótce też został kierownikiem świetlicy z ramienia Związku Walki Młodych, przybudówki młodzieżowej do PPR-u, do którego wstąpił w marcu 1948 r., aby następnie, od 15 grudnia tegoż roku, aż po rozwiązanie, być członkiem PZPR-u, później Socjaldemokracji. Chyba ważniejsze było to, że w ostatnich latach izbickich Jan Wojciechowski zetknął się z Mikołajem Kozakiewiczem, człowiekiem nieprzeciętnym i będącym prawdziwym wcieleniem cnót pedagogicznych, osobą u schyłku życia zepchniętą na margines przez „kolegów” z PSL-u, czyli przemalowanego ZSL-u.

Następny, drugi etap życia Jana Wojciechowskiego nazwać trzeba bydgoskim. Bodajże w 1948 r. znalazł się w grodzie nad Brdą, w Państwowej Szkole Instruktorów Teatrów Ochotniczych. W jakiejś mierze zastępowała ona naukę na szczeblu licealnym. Odpowiadało to temperamentowi młodego izbiczana, a przy tym otwierało nowe szanse życiowe przed nim. Polska Ludowa w swych pierwszych latach o wiele lepiej dbała o pozory otwarcia możliwości szans kulturalnych i oświatowych przed młodzieżą z biednych środowisk niż było to później. Część z nich, tych ambitnych, z tego skorzystała, a niejeden uwierzył w ową propagandową rzeczywistość na całe życie. Jan Wojciechowski z czasów tamtej bydgoskiej edukacji, jako wspomnienie, recytował duże fragmenty fredrowskiej „Zemsty”. Później wydelegowano go do szkoły Partyjnej dla Pracowników Kulturalno-Oświatowych przy KC PZPR. Całość jego powojennej edukacji uznano za równoważną licealnej maturze – formalnie bodajże w 1959 r.

W wojsku nie służył, ale, to też wynalazek PZPR-u, miał stopień oficera rezerwy „bez stopnia”. W każdym razie w chwili wprowadzenia stanu wojennego w grudniu 1981 r. wezwano go i wyposażono w stosowne „sorty mundurowe”, a nawet broń krótką, co zresztą wrzucił na dno szafy. Nie dane mu było „walczyć o socjalizm” z bronią w ręku.

W Bydgoszczy, po krótkim epizodzie pracy w Wydziale Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, przez dekadę lat 1952–1962 pracował w tejsze dziedzinie w Komitecie Wojewódzkim PZPR.

Angażował się w tę pracę, poznał wielu ciekawych ludzi, i to chyba denerwowało jego przełożonych i kolegów – aparatczyków skoncentrowanych na sprawach awansów osobistych i maksymalizowaniu działań pozorowanych. Zdaje się, że „czary goryczy” dopełnił u nich fakt zaproszenia go na kilka dni do Sztokholmu przez polską ambasadę. W głowie mu nie pozostało, że może mieć to jakieś konsekwencje. W możliwie stosownym momencie został „spławiony” z biura Komitetu. Zdążył jeszcze być w latach 1958–1959 członkiem Społecznej Rady Redakcyjnej „Tygodnika Kulturalnego”. Odegrał istotną rolę w założeniu i działalności, powstałego w 1963 r. Kujawsko-Pomorskiego Towarzystwa Kulturalnego, będącego rodzajem unii lokalnych stowarzyszeń skupiających ludzi pragnących służyć swoim „małym ojczyznom” poprzez przypomnianie ich przeszłości, specyfiki i inspirowaniu działań twórczych w sferze literackiej, plastycznej, wydawniczej, folklorystycznej. Była to prawdziwa praca organiczna. Jan był dyrektorem biura KPTK.

Gdy towarzysz Gierek postanowił osłabić znaczenie wojewódzkich sekretarzy partii w związku z objawami nadciągającego kolejnego kryzysu gospodarczo-społecznego, widząc w nich zagrożenie dla swego jedynowładztwa, namnożono karzełkowatych województw, m.in. rozbijając bydgoskie na trzy. Akurat dla rozwoju kulturalnego w skali lokalnej nie była to zmiana niekorzystna. Wówczas to, z walnym udziałem Jana Wojciechowskiego, 26 II 1976 r. założono Toruńskie Towarzystwo Kultury (TTK), którego został sekretarzem. W rok później przeniósł się na stałe do Torunia.

Tak zaczął się trzeci etap życia i działalności Jana – etap toruński. Pierwszą siedzibą TTK była Krzywa Wieża, następnie dzięki jego zabiegom przeniosło się ono do barokowego budynekczku, stojącego na obrzeżach ruin zamku krzyżackiego. To on ukuł dla niego nazwę „Generałówka”, jako że do 1962 r. należała do wojska, a przed wojną przez jakiś czas mieszkało w nim dwóch generałów WP. Z czasem TTK używało tego sympatycznego budynekczku kilku innym stowarzyszeniom kulturalno-społecznym. W swej działalności TTK wspierało i inicjowało działania popularyzatorskie, wydawnicze, muzyczne (ogniska muzyczne), folklorystyczne, plastyczne na obszarze historycznej Ziemi Chełmińskiej.

Jeśli idzie o tę ostatnią dziedzinę to wystarczy przypomnieć ściśle współdziałanie z toruńską Galerią i Ośrodkiem Plastycznej Twórczości Dziecka, działającą również w skali międzynarodowej, a kierowaną od lat przez Zofię Karpińską.

W istocie rzeczy Jan był prawdziwym spiritus movens tego Towarzystwa i głęboko przeżył przed kilku laty to, że nie został wybrany do jego władz, co zresztą przyspieszyło kryzys tego stowarzyszenia.

Oddzielny rozdział aktywności publicznej Jana Wojciechowskiego to współpraca z organizacjami Polaków za granicą. Zaczęło się to bodajże w 1973 r., gdy związał się z Towarzystwem Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” w Warszawie. Następstwem tego było m.in. zorganizowanie i kierowanie w 1976 r. kursem etnograficznym oraz obozem Polsko-Amerykańskiego Teatru Folklorystycznego, w kilku następnych latach dyktował kolejnym kursom Folkloru Polskiego dla Polonii Amerykańskiej. Raz i drugi występowałem z jego inicjatywy z wykładami na nich w pomieszczeniach Technikum Chemicznego, a później Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Od tamtych czasów aż do końca Jan Wojciechowski współpracował ściśle z cieszyńskim Polskim Związkiem Kulturalno-Oświatowym w Czechach. Był tam znany i szanowany. Stąd, w odbywanym dorocznie w Beskidzie Śląskim koło Jabłonkowa „Gorolskim Świącie” było dla niego zawsze miejsce na scenie na tzw. „grzędzie”, czyli ławie dla gości honorowych tego spotkania Polaków z Zaolzia.

Pamiętam jak byliśmy gościnnie przyjmowani u Władka Młynka, działacza polskiego, publicysty i poety, niestety zmarłego przed kilku laty. Dodać trzeba, że kręciło się wówczas po mieszkaniu dziewczątko, które obecnie jest znaną piosenkarką.

Po przemianach 1989 r. rozsypała się reżimowa „Polonia”, a na jej gruzach utworzyło się Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, na czele, zgodnie z przedwojenną tradycją, z pierwszym marszałkiem Senatu RP Andrzejem Stelmachowskim. Niżej podpisany został wybrany wówczas do jego Rady Krajowej i zasiadał w niej przez dekadę. Wkrótce po tym z Janem Wojciechowskim utworzyliśmy Oddział Kujawsko-Pomorski Stowarzyszenia, który po latach doczekał się też Koła w Bydgoszczy. Oddział toruński skoncentrował się na współpracy i wspieraniu środowisk polskich na wschodzie i południowym

wschodzie. Europy. Dodać trzeba, że w wypadku wschodnich obszarów Rzeczypospolitej wielkim nieporozumieniem jest określanie naszych rodaków z tych ziem „Polonią”. Oni są u siebie, to państwo polskie dało się przepędzić z tych ziem, a nieucy dominujący w prasie i telewizji klepią określenia wygodne dla naszych wrogów.

Jeszcze przed utworzeniem Oddziału Kujawsko-Pomorskiego „Wspólnoty” w 1989 r. uruchomiłem w Toruniu, przy UMK, pierwszą Letnią Szkołę Kultury i Języka Polskiego. Z założenia przeznaczona ona była dla młodzieży polskiej ze wschodu, tej zapomnianej, która nie ma dolarów. Działa ona po dziś dzień, za pieniądze „Wspólnoty”, a z walną pomocą UMK. Jan Wojciechowski od początku był zaangażowany w funkcjonowanie tej letniej szkoły odnowy polskości na Wschodzie. Obecnie znakomicie strzeże tej inicjatywy prof. Czesław Łapicz.

W działalności toruńskiego Oddziału „Wspólnoty” nastawiliśmy się na współpracę z Polakami na Wschodzie i Bałkanach, w czym pomogły dawniejsze kontakty Jana Wojciechowskiego. Trudno jest w kilku słowach opisać liczne działania, w które był on zaangażowany. Ale bezwzględnie przypomnieć trzeba nasze zabiegi, które doprowadziły do przejęcia przez Oddział Związku Polaków na Białorusi (ZPB) budynku, z początku XIX w., na starym mieście w Mohylewie. Został on, ze środków „Wspólnoty”, pięknie wyremontowany i jest ośrodkiem polskości w tym mieście na wschodzie Białorusi. Pamiętam jak na jego otwarcie wieźliśmy z Janem godło narodowe. Bywał też u nas kilkakrotnie prezes tamtejszego Oddziału ZPB p. Jerzy Żarawowicz. Działaliśmy też wspólnie na Litwie, i to nie tylko w Wilnie. Niemniej jednak nasze dwa podpisy znajdują się na dokumencie, umieszczonym w metalowej tubie wmurowanej, jako kamień węgielny, w betonowe fundamenty Domu Polskiego w Wilnie, zbudowanego na rogu ulic Nowogrodzkiej i Kowieńskiej (dawniej Kijowskiej). Wspieraliśmy, w dostępny nam sposób, Uniwersytet Polski w Wilnie i rektora Brazisa. Nawiązaliśmy współpracę z Oddziałem Związku Polaków na Litwie w Kiejdanach. Szczególnie blisko Oddział toruński „Wspólnoty” współpracował i współpracuje z Polakami w Sołeczniakach, czym szczególnie zajmuje się prezes Sawionek. Jan Wojciechowski nawiązał i do końca prowadził współpracę z Domem Polskim

w Bukareszcie, podobnie z Polakami, a właściwie głównie z Polkami w Zagrzebiu i Lublanie. Utrzymywano różnorodne kontakty z Polakami w Rosji, aż po Ural, też na Łotwie.

To skrótowe i niepełne wycięcie wysiłków Jana Wojciechowskiego na rzecz odbudowy i podtrzymywania polskości na wielkich obszarach wschodu i południa Europy przypomina w tej mierze jego niedoceniane zasługi. W strukturach magistratu toruńskiego istnieje specjalna jednostka poświęcona promocji Torunia w Europie i świecie. Wydaje się, że pojedynczo Wojciechowski znacznie więcej zrobił dla propagowania grodu Kopernika poza granicami Rzeczypospolitej niż stadko dzielnych pracowników tej szlachetnej komórki Urzędu Miejskiego.

Zadałem sobie niedawno pytanie, kiedy poznałem osobiście Jana Wojciechowskiego? I nie bardzo umiałem na nie klarownie odpowiedzieć. Przypomniał mi się jedynie pewien malowniczy epizod, gdzieś sprzed przeszło czterdziestu lat. Wybraliśmy się z Torunia do Bydgoszczy z Jankiem Grześkowiakiem, archeologiem, jego mocno nadwerężoną WFM-ką. Jedną czwartą drogi pchałem to motocyklopodobne bydłátko, bo ciągle gaśł mu silnik. Grześkowiak, zawsze twierdziłem, że sam siebie wykopał jako Prapolaka – bo taka jego była prząsna uroda, chciał wyprosić jakieś pieniądze na badania archeologiczne. Szczęśliwie, choć z trudem, dotarliśmy do spichlerzy nad Brdą, gdzie po stromych schodach nieustannie biegał Jan Wojciechowski. Chyba coś udało się nam załatwić. Potem pamiętam go już w mrocznych wnętrzach Krzywej Wieży. Bardziej ścisła współpraca między nami zaczęła się od 1990 r., od czasu założenia przez nas Oddziału Kujawsko-Pomorskiego „Wspólnoty Polskiej”. Nie mało wspólnie zdziałaliśmy, ale to już wyżej zasignalizowałem.

Kilkakroć namawiałem Jana, aby spisał, a przynajmniej nagrał na magnetofonie, swoje wspomnienia z kilkadziesiątu lat jego działalności społeczno-kulturalnej. Powstać z tego mogłaby malownicza w swych treściach księga z fragmentami soczystych biografii takich osobowości jak Władysław Broniewski, Henryk Worcell, Marian Reniak, nie wspominając o Adamie Grzymale-Siedleckim i pomniejszych figurach bydgoskiego i toruńskiego światka pisarskiego i artystycznego.

Warto może przytoczyć jedno ze wspomnień Wojciechowskiego, dotyczące instytucji ważnej dla życia kulturalnego Torunia – idzie tutaj o Muzeum Okręgowe. W połowie lat sześćdziesiątych było wśród pracowników tej placówki „aż” trzech członków partii. Jednym z nich był pewien kustosz. Co pewien czas pisał on donosy do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Bydgoszczy na dyrektora, profesora Jerzego Remera, przedstawiając go jako zatwardziałego reakcjonistę, byłego wysokiego urzędnika sanacyjnej Rzeczypospolitej. Towarzysze z KW postanowili w końcu zająć się tą sprawą. W tym celu wysłany został do Torunia czarna „wołga” Jan Wojciechowski. Gdy samochód zjechał przed ratusz dyrektor Remer spokojnie na niego oczekiwał. W Bydgoszczy w gmachu przy ul. Jagiellońskiej doprowadził profesora do drzwi gabinetu I sekretarza KW PZPR, a sam czekał na zewnątrz na rozwój wypadków. Wizyta przymusowego gościa niepokojąco przedłużała się, co nie wróżyło niczego dobrego. W końcu drzwi się otwały i wyszli z gabinetu trzymając się czule pod pachę I sekretarz Majchrzak i dyrektor Remer. Otarty w świetle stary wyga owinął wokół palca towarzyszy z egzekutywy KW, a wysiłki pracowniczego donosiela spełzły na niczym. Zresztą sam Wojciechowski stał się obiektem intryg kolegów z KW. Wyszło mu to później na zdrowie, w sensie moralnym i psychicznym, bo najpierw związał się z nowo powstającym KPTK, a następnie był współzałożycielem i działaczem TTK.

Odszedł od nas człowiek, który, niezależnie od orientacji politycznej, szczerze i bezinteresownie wspierał i angażował się w najróżniejsze działania kulturotwórcze Torunia, Bydgoszczy, całego regionu, a także znany był wśród Polaków daleko za granicami kraju.